Nr. 12. We Lwowie, dnia 15. Września 1889. ROK I.

# PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu", Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

## Zjazd ludowy w Wadowicach.

Zapowiedziany na 5. września zjazd ku zawiązaniu „Ludowego Towarzystwa zaliczkowego i ochrony własności ziemskiej" — wypadł nielicznie. Przybyli — oprócz miejscowych — delegaci włościan z okolic Biały, Myślenic, Nowego Sącza, Jasła i Brzozowa, a znajdowali się też między nimi dwaj posłowie włościańscy: Kramarczyk Franciszek z powiatu bialskiego i Potoczek Stanisław z nowosądeckiego. Ogółem było na sali około 40.

Zgromadzenie zagaił Józef Czapik, wójt z Choczni pod Wadowicami, a przy ostatnich wyborach kandydat na posła. Czapik wygląda bardzo poważnie, ma długą a bujną siwą brodę — nosi szarą polską kapotę. Mówi płynnie, spokojnie, językiem poprawnym — formy parlamentarne zna dobrze, a obrany następnie przewodniczącym, spełniał ten urząd w sposób poważny i rzec można bez zarzutu. W zagajeniu zebrania przemówił mniej więcej w następujące słowa: Jako włościanin tutejszego powiatu czuję się obowiązanym powitać gości tak z dalszych stron jak i z naszych tu bliższych, którzy zgromadzili się w celu wielkiej doniosłości. Kraj cały gniecie bieda. Inne warstwy ludności gromadzą się i skupiają i radzą nad tą biedą — tylko włościanie uśpieni poddają się biedzie. Dawniej, gdy dwór starał się o poddanych, którzy obrabiali pańszczyznę, były inne stosunki, byliśmy jak małoletni, o których inni myśleli. Ale odkąd przed 40 laty nadano nam swobodę — sami o sobie radzić i pomagać sobie musimy — bo własna rada najlepsza. We wschodniej części kraju lepiej niż my tutaj myślą o sobie — tutaj, wielu przyrzekło przybyć na dzisiejszy zjazd, a mało przybyło, co ze smutkiem widzimy. Wdzięczność nasza należy się tym, co nas radą wspierają. Korzystajmy z tej rady — a rozsiewajmy wszędzie między braci rolników tę myśl, że lud ma o sobie sam pamiętać i sam sobie pomagać, przez co i państwu się przysłużymy, bo lud jest podstawą państwa, jako klasa najliczniejsza i produkująca. Kto w Boga wierzy, kto wierzy, że włościanin może i powinien sobie radzić, niech staje razem z nami do wspólnej, pracy. Mowca zakończył powtórnem powitaniem przybyłych z dalszych stron i zaproponował, by wybrać przewodniczącym ks. Wawrzynowskiego. Gdy jednak ten się wymówił, zebranie powołało na przewodniczącego p. Czapika.

Drugim mowcą był p. Franciszek Zalański z Jasła, inicjator zebrania i autor projektu statutu zamierzonego Towarzystwa. Po

krótkim wstępie, wspomniał, że — jeżeli chwycił się myśli zawiązania Towarzystwa ochrony ekonomicznej ludu — to dlatego, że od wielu lat pracując nad oświatą ludu, widział konieczność podjęcia takiej pracy ekonomicznej. Gdy inne narody, które dawniej były tak biedne, jak my, ale miały wolność, pracowały nad sobą i podźwignęły się, my blisko przez 100 lat nie pracowaliśmy, zaniedbaliśmy się, i stoimy dzisiaj prawie niżej od narodów świeżo do życia powołanych, a do niedawna w świecie prawie nieznanych, jak Rumuni, Bułgarzy, Serbowie.

Podatków obliczonych na głowę ludności płacimy znacznie mniej, niż inne kraje — ale w stosunku do dochodu są one bardzo wysokie. Nie można zaś łudzić się nadzieją, aby podatki zostały zniżone, przeciwnie w obec wzrastających potrzeb państwa, jeszcze się one podniosą. A do tego wysyłamy z kraju bardzo wiele miljonów za towary, których nie chcemy sami wyrabiać w kraju. Jeżeli ten stan rzeczy dłużej potrwa — zginiemy. Trzeba się zatem ratować.

Trzeba więc łączyć się w Towarzystwa i wspólnie pracować, aby zakupywać większe role, podnosić wydatność gospodarstw, jąć się przemysłu. Głównym celem zamierzonego Towarzystwa będzie zakupywanie ziemi, zwłaszcza tam, gdzie ona może przejść w ręce obce — regulowanie zadłużonych gospodarstw, ażeby je zatrzymać w ręku dzisiejszych rodzin rolniczych. Gdy się Towarzystwo wzmocni, będzie można i działalność jego szerzej, na inne działy rozwinąć. W krótkości przedstawia mowca zarys organizacji Towarzystwa, na wzór limanowskiej i mieleckiej „ochrony własności“.

Poseł Potoczek Stanisław wyraża ubolewanie, że tak mało przybyło, zaręcza, że sądeckie dostarczy setek członków. Tak samo wyraża się delegat z brzozowskiego. Poczem jednomyślnie uchwalono w zasadzie potrzebę zawiązania Towarzystwa i przystąpiono do obrad nad statutem.

Cel Towarzystwa określono jak następuje:

Celem Towarzystwa jest udzielanie członkom swoim moralnej i materjalnej pomocy, zdążającej do ochrony, powiększenia obszaru i podniesienia wartości posiadanej ziemi, wszelkiemi rozporządzalnemi środkami, jakie Towarzystwo do dyspozycji mieć będzie w zakresie statutu. W tym celu Tow. będzie zakupywać posiadłości ziemskie, czy to z wolnej ręki, czy też na publicznych licytacjach na podstawie oznaczonej wartości przez znawców, do oszacowania przez dyrekcję powołanych.

Towarzystwo będzie dalej pośredniczyć między obdłużonymi członkami Tow. a ich wierzycielami, aby zadłużoną realność w części lub całości dla dotychczasowego właściciela utrzymać, wreszcie będzie udzielało członkom swoim taniego kredytu, potrzebnego w gospodarstwie, handlu i przemyśle, o ile fundusze jego nie będą zaangażowane w zakupnie ziemi.

Wysokość udziału oznaczono na 10 zł. — wpłacać można w dwóch półrocznych ratach, po 5 zł. Wpisowe wynosi 1 zł. 50 ct. Porękę przyjęto najniższą, jaką ustawa dopuszcza. Po obradach nad statutem zapisywali się obecni i subskrybowali 64 udziałów, na które zaraz wpłynęło gotówką 335 zł. Wybrano potem dyrekcję i radę nadzorczą. Do dyrekcji weszli: Zalański Franciszek jako dyrektor fachowy, Czapik Józef, ks. Bryniarski Tomasz, Wiśniowski Franciszek i ks. Wawrzynowski Michał, jako członkowie — Sikora Antoni i Widlarz Piotr, jako zastępcy. Do rady nadzorczej wybrani: Kramarczyk Franciszek, Potoczek Stanisław, Stręk Wojciech, ks. Kuryniec Franciszek, Raj Antoni, Czapik Stanisław,

Schünke Emil, ks. Komorek, Rajda Jan, dr. Adelman Emil i Foltyn Franciszek.

Serdecznemi słowami pożegnania i podziękowania zamknął przewodniczący, p. Czapik, zgromadzenie.

---

## Poseł-włościanin.

»Przyjaciel« opowiadał wam, mili bracia, w kwietniu jeszcze o głównych wypadkach z życia włościanina, Jana Orzechowskiego, posła do Rady pastwa, a dziś podaje list p. Kramarczyka, posła na sejm, pragnąc byście lepiej poznali tego zacnego, godnego miłości i szacunku człowieka. List ten został nadesłany do redakcji »Chaty», którą odbierał przez 13 lat pod adresem: »Franciszek Kramarczyk, syn wieśniaczy».

»Rzeczywiście byłem wówczas synem wieśniaczym, pisze p. Kramarczyk, liczyłem lat 22, pracowałem pługiem, kosą i cepem na 49-morgowem gospodarstwie u śp. rodziców moich, a obok tej pracy mojej prowadziłem dość liczną pasiekę pszczelną, którą sobie w 16 roku życia mojego już założyłem za własny grosz uzbierany, począwszy od dzieciństwa, i wydoskonaliwszy się sam według zakupionych książek Lubienieckiego o pszczelnictwie. Dalej obok tych prac w wolnych chwilach od robót gospodarczych, prowadziłem krawiectwo, którego się przez trzy lata poprzednio, tj. po skończeniu szkoły ludowej u bardzo porządnego majstra wyuczyłem, i tak jak świat poznałem, nie miałem nic innego na myśli, li tylko nauki; lecz ponieważ śp. rodzice moi, pomimo próśb i płaczu, do szkół wyższych oddać mnie nie chcieli, przeto postanowiłem sam nad sobą pracować i kształcić się w tem, co do życia wiejskiego jest potrzebne.

Takie życie moje ciche i skromne niedługo mogło pozostać w zaciszu, bo oto jeszcze byłem parobczakiem przy moim ojcu, a już Rada gminna w Osieku jednogłośnie postanowiła mnie powołać na sekretarza gminy, ja jednak opierałem się bardzo temu powołaniu i pod żadnym warunkiem zaszczytu tego przyjąć nie chciałem. Lecz kiedy już śp. ks. proboszcz i śp. pan nauczyciel mój, zaczęli mi przedkładać korzyści z pracy tej, więc niejako byłem zmuszony przyjąć tak wielki ciężar, jaki cała gmina na mnie włożyła. Po przyjęciu jednak tegoż obowiązku zacząłem pracować mocno z pomocą Bożą i rzeczywiście za jeden rok praktyki pojąłem dokładnie cały skład prowadzenia gminy, zrozumiałem dobrze ustawę gminną i administracyjną i umiałem się zastosować na każdym kroku w sprawach gminnych i policyjnych, jak tego mój obowiązek wymagał. Po trzech latach pisarstwa mojego, kiedym już doszedł do pełnoletności, a ojciec mój umierając, legował mi 10 morgów gruntu, jako część na mnie przypadłą, natenczas powołano mnie do grona pp. radnych i tak jako sekretarz gminy i członek Rady gminnej pracowałem bez przerwy do r. 1885, tj. przez lat 9. W tymże zaś r. 1885. dopiero gmina zwaliła na barki moje cały już ciężar gminy, bo zrobiła naczelnikiem gminy, który to ciężar jako — naczelnik gminy i sam do tego prowadzący kancelarję gminną, tj. pisarstwo — od r. 1885 bez przerwy prowadzę. Co się zaś tyczy stosunków gospodarskich, to mój dział ojczysty, 10 morgowy odstąpiłem bratu mojemu, a sam, pracując zawsze uczciwie i oszczędnie przy pomocy Bożej i żony mojej, złożyliśmy piękny kapitał, bo około 10.000 złr. i wykupiliśmy z rąk innowierców bardzo piękny majątek, położony w naszej wiosce, obejmujący 70 morgów samej ornej ziemi wraz

z budynkami, na które dopożyczyliśmy pieniędzy do spłacenia na raty.

Otóż w tak krótkich latach, przy tak ciągłej pracy, to około dobra gminy, to około podniesienia gospodarstwa własnego, daruje mi szan. Redakcja, żem mało kiedy mógł być wolny, by nawet jakąś, choćby i ważną rzecz do waszego pisma mógł napisać. Lecz dzisiaj, kiedy rzeczywisty cud stał się u nas w powiecie bialskim na d. 2. lipca, w on dzień wielki nawiedzenia Najś. Panny Marji, kiedy bez żadnych agitacji ze strony mojej zostałem wybrany posłem na Sejm krajowy 79 przeciw 60 głosom, które otrzymał nasz dawny poseł i marszałek Rady pow. p. Klucki, więc dziś już zamilczeć mi dalej nie idzie, ażeby szan. Redakcja, która mnie już 13 lat karmi swojemi radami, nie miała o tem wiedzieć, że w gronie swoich stałych prenumeratorów posiada dzisiaj jednego włościanina, który za parę tygodni, jeżeli Bóg pozwoli, odwiedzi was osobiście i to jako poseł sejmowy i podziękuje wam za tyle, tak ciągłej i wytrwałej pracy około oświaty tego wieśniaczego ludu.

Jaki zaś był powód do poznania mnie w całym powiecie bialskim, jaką pracę, jakie zasługi tutaj mogłem położyć dla całego powiatu jako wójt pojedynczej gminy, co wycierpiałem, z kim się ścierałem, jakie silne walki na każdym kroku staczać musiałem i jakie zabiegi były, abym jako poseł wyjść nie mógł, na to wszystko rzućmy zasłonę, aby mnie przez to kto nie zarzucił słowa onego mędrca, który mówi, »że własna chwała niczem jest«. Stanąłem zaś jako kandydat na posła, sami włościanie bowiem tego chcieli. To zaś, com napisał o początkach z młodości mojej, jest wszystko bez żadnej przesady, i chciałem tylko dać poznać szanownym czytelnikom, jak młodość każdego człowieka jest drogim, nieoszacowanym skarbem w koronie doczesnego i wiecznego życia, i jak każdy powinien dbać o swoje wykształcenie i ciągle pracować nad stanem swoim i to jedynie tylko z pomocą Pana Boga, bo kto ciągle z Bogiem idzie, więc Bóg z nim zawsze będzie.

Ale dobrze, powie mi ktoś z czytelników »Chaty«: »no, pięknieś się szan. nasz pośle sejmowy, rozpisał i dał nam poznać, kto jesteś i kim byłeś, ale kto wie, jakie masz zapatrywanie na sprawy publiczne, jak znasz dobrze stosunki włościańskie, które ustawy nas za bardzo gniotą, co i jakby należało poprawić?

O, szanowni współbracia rolnicy i rzemieślnicy, jeżeli dotychczas jako młody, bo 35 lat liczący, byłem wszystkiem, czem tylko bez większych nauk syn wieśniaczy mógł być, i jak to mówią, na wozie i pod wozem, bo kto trzy lata terminu w rzemiośle odbył, kto później parę lat jak zagrodnik 10 morgowy, a obecnie jako gospodarz większego gruntu, a do tego kierujący sprawami publicznemi już lat 13. przeszło, pracował, ten wiele się nauczył. W pierwszym wypadku, jako prosty włościanin, znam doskonale, co to za raj ucieszny, być dzisiaj rzemieślnikiem lub rolnikiem, a prawdziwego hartu duszy potrzebowałem, kiedy z jednej strony trzeba było zmusić lud do porządku gminnego, a z drugiej go bronić.

Bądźcie, szanowni bracia włościanie, pewni, że nietylko powiat Bialski, który mnie wybrał, będę zastępował, nietylko sprawę waszą, sprawę włościan jako najżywotniejszą siłę i podstawę całego kraju, lecz sprawy całej Galicji, całego kraju będą mi na sercu leżeć. To tylko może mnie zasmucać, że włościan uczciwych i rzetelnych i znających stosunki administracyjne i autonomiczne wejdzie do Sejmu za mało·

Wielka szkoda Ciebie, zacny rolniku p. Janie Skwaro, żeście nie mogli przejść razem ze mną. Wy mnie nie znacie, ja was znam z wystawy krakowskiej z r. 1887.

A zatem, kiedy już tak los pokierował, żeśmy się nie mogli razem połączyć do wspólnej pracy, to przynajmniej proszę Was, abyście choć czasem swoje zapatrywania na sprawy publiczne opisali, a ja Wam chętnie na nie odpowiem i tak przez wymianę dobrych zdań naszych możemy rozbudzić ducha w naszych współczytelnikach i niejedno dobre zdanie, które dzisiaj jest przywalone grubą warstwą snu głębokiego, możemy z łatwością na jaw wydostać«.

Z wielką radością zapewne odczytaliście piękny ten list, mili czytelnicy i weselej wam się zrobi na sercu, gdy pomyślicie, że choć kilku posłów będzie broniło szczerze interesów waszych w Sejmie. A na przyszłe wybory, to z pewnością nie dacie się oszukać i złudzić wielkim panom, bo to za drogo kosztuje i za bardzo później boli.

## Wybory w Nisku.

Pisaliśmy w nrze 9. „Przyjaciela", o tem, co Jachym wyrabiał z mandatem swoim poselskim. Wskutek jego rezygnacji, następnie odwołania rezygnacji, a w końcu cofnięcia odwołania, odbyły się w Nisku powtórne wybory, o których pewien poczciwy człowiek tak opowiada:

„Dowiedziawszy się o wyborach, mających się powtórnie, mimo odwołania rezygnacji przez Walentego Jachyma, odbyć w Nisku 20. sierpnia, udałem się tam pocztą, aby się przejrzyć, w jaki to sposób reprezentanci naszego biednego ludu uzyskują mandaty.

W Kamieniu przysiadł się do mnie jeden z prawyborców, poważny gospodarz z Kamienia, a członek Wydziału powiatowego w Nisku. Można sobie wyobrazić moją radość z tak pożądanego towarzysza podróży; to też poczęstowawszy go cygarem, wdałem się zaraz w pogawędkę — naturalnie o wyborach, które nas wtedy najwięcej interesowały. Dowiedziałem się też od niego wiele ciekawych rzeczy.

Otóż przed pierwszymi wyborami, gdy p. Stanisław Jędrzejowicz zdawał przed wyborcami sprawozdanie sejmowe, interpelowano go, czy to prawda, że jako referent ustawy drogowej w Sejmie, przyczynił się najwięcej do ustawy nowej drogowej. — Na to im kandydat odpowiedział, że prawda, ale zapewnił, że teraz, gdy go wybiorą, ustawę tę zmieni.

Towarzysz mój, ów gospodarz z Kamienia, był przez komitet przedwyborczy wydelegowany wraz z innymi do marszałka powiatu niskiego hr. Hompescha, który ludzkiem postępowaniem zjednał sobie naszą miłość i zaufanie, w celu uproszenia go, by przyjął mandat na posła do Sejmu; lecz hr. Hompesch odpowiedział, że nie może przyjąć mandatu, dla nieznajomości polskiego języka; — do Rady państwa to co innego, bo tam mówią po niemiecku. A gdy go radzili się, kogo mają wybrać, wskazał im p. Stanisława Jędrzejowicza; lecz na to oznajmili delegaci, że p. Jędrzejowicza nie chcą i oświadczyli, że jeżeli nie przyjmie ich mandatu p. Kostheim, to wybiorą chłopa. Na to hr. Hompesch odpowiedział: „To dobrze, to wybierzcie sobie chłopa". I tak się też stało. Pomimo, że p. Jędrzejowicz za pośrednictwem całej zgrai szynkarzy poił chłopów i płacił

za głosy, jednak wybraliśmy chłopa, Walentego Jachyma, który także jest członkiem wydziału powiatowego, i jako wysłużony sierżant wojskowy i umiejący dobrze pisać, zdawał nam się za najodpowiedniejszego na posła.

Jachym, gdy został wybranym, ofiarował 25 guldenów na poczęstunek wyborców, lecz wyekspensował tylko 17, a 8 mu zwrócono, mówiąc, by to schował, bo sam ma nie wiele.

Dalej opowiadał mi towarzysz, że nie wie, co to się stało, że Jachym zrezygnował, za co chłopi są na Jachyma oburzeni i zarzucają mu, że ich „sprzedał"!

Na to ja odpowiedziałem mu, że wpłynąłem na Jachyma, że cofnął rezygnację; — ale widać nie chcieli przyjąć cofnięcia, kiedy rozpisali nowe wybory; więc zapytałem mego towarzysza: kogo na nowo wybiorą — i dlaczego sam nie stanie jako kandydat?

Odpowiedział mi na to: „Ja nie umiem pisać, ni czytać, więc w Sejmie na nicbym się nie przydał, choć poważanie mam większe od Jachyma, a przy pierwszych wyborach, chociaż sam musiałem głosować za Jędrzejowiczem, ale powiedziałem innym, by głosowali na Jachyma.

„Teraz powtórnie go nie wybiorą, bo są na Jachyma bardzo rozgniewani, że ich sprzedał, ale też i Jędrzejowicza pewnie nie wybiorą, bo byłem w Ulanowie, Rudniku — a chociaż prawyborcy pili po gospodach na rachunek p. Jędrzejowicza, ale mówili, że głosować na niego nie będą; za p. Jędrzejowiczem będą tylko wyborcy z Niska, księża, żydzi, burmistrz z Ulanowa i rewizor bydła, były żandarm z Kamienia; a chłopi za kim będą głosować, tego jeszcze nie wiem, dopiero gdy zejdą się w Nisku, to przed wyborami się naradzą".

I tak gawędząc, o 3. rano stanęliśmy w Nisku.

Przed 7. zbudził mię gospodarz, mówiąc, że już goście się schodzą, więc też ubrałem się i poszedłem do Kaspra na kawę.

Przypatrywałem się z daleka. jak wyborcy się gromadzili, a żydzi między nimi się uwijali, agitując za Jędrzejowiczem, lecz chłopi go nie chcieli i zmawiali się głosować na hr. Hompescha; a gdy sekretarz rady powiatowej oświadczył im w imieniu hrabiego, że ten wyboru nie przyjmie, byli rozbici; jedni obstawali przy Hompeschu, a drudzy postawili na kandydata jednego z chłopów, ale żydzi zaraz ich wyśmiali wołając: osły!

Aż dopiero, gdy jeden z żydów w materjalnym chałacie z zajadłością zaczął łżyć chłopów i zapewniać, że p. namiestnik życzy sobie, by był wybrany p. Jędrzejowicz, więc musi być wybranym i gdy odgrażał się żandarmami na tych, co chcieli innego, dopiero wtedy podszedłem do kłócących się i zapytałem, co to za jeden; przytem oświadczyłem, iż za takie agitowanie ustawa karze od 1 do 6 miesięcznym aresztem, wtedy dopiero ten zajadły agitator, Uszer Amster, piwowar z Niska, nieco się umitygował, a wyborcy podążyli do lokalu starostwa.

Chciałem i ja tam pójść, lecz nie wpuszczono mnie, jako niemającego karty wyborczej (p. Jędrzejowicz już od 7. rano był tam, choć także nie miał karty). Nie tylko na nic się nie przydała moja uwaga, iż wybory winne być publiczne, ale nawet i przez okno nie pozwolono mi przypatrywać się wyborom.

Wyborcy z chłopów, idąc do starostwa, byli przeciwni wyborowi p. Jędrzejowicza i

dopiero tam jakoś ich przerobiono i przekonano, że głosowali za nim, bo wyszedł bardzo znaczną większością głosów.

Przy wyborach Jachym wcale się nie pokazał, tylko nadesłał mi posłańcem list, w którym mi doniósł, że odwołanie rezygnacji było o jeden dzień spóźnione.

Po wyborach, ukończonych o 11. przed południem, wyczekując na pocztę, odchodzącą o 3. popołudniu, miałem sposobność patrzyć na niemiły widok ucztujących wyborców, biedniejszych po szynkach, a bogatszych wraz z nowo wybranym posłem w handlu Kaspra.

P. Jędrzejowicz, ucieszony mandatem, tak hojnie częstował swych wyborców, że podchmieleni pp. Amstery wszystkich gwałtem częstowali; o 2. już tylko ochrypłe głosy od Kaspra się wydobywały.

Na poczcie widziałem, jak wypłacano znaczną kwotę pieniężną jednemu z dostojników wyborczych bez stwierdzenia odbioru.

Gospodarz z Kamienia, wożący pocztę, z którym przyjechałem do Niska i miałem wracać, z tego żalu, że wybrali p. Jędrzejowicza, tak się upił, że tylko od czasu do czasu machał ręką, mówiąc: sprzedali nas! Przez całą drogę do Kamienia musiałem go pilnie strzedz, by z kozła nie zleciał, lub do rowu nie zajechał".

## Kółka rolnicze.

W miesiącu sierpniu b. r. zawiadomiły Zarząd główny Towarzystwa o swojem zawiązaniu następujące Kółka: 443) Rzochów powiat Mielec, zawiązał p. Michał Krawczyk, akademik z p. Mateuszem Wydro, burmistrzem i radnemi gminy, 444) Pstrągowa pow. Ropczyce założył ks. Józef Fyda tamtejszy wikary, 445) Kamienopol pow. Lwów, zawiązał p. Lange Jan nauczyciel przy współudziale p. Edwarda Ubysza, właśc. dóbr. 446) Złotniki pow. Mielec założyli pp. Jan Gerlach, nauczyciel i naczelnik gminy Adam Duszkiewicz, 447) Biesiadki pow. Brzesko założył p. J. Sikorski z naczelnikiem gminy p. Józefem Niemcem. 448) Jeleń pow. Chrzanów, założył p. Jan Jarosz nauczyciel przy współudziale ks. Proboszcza Jana Bobka i całej gminy.

Jako członkowie wspierający przystąpili do Towarzystwa pp. Mieczysław Grzybowski właśc. realn. w Smerehowie i Jan Szczęsny Sikorski prof. z Dublan.

W miesiącu grudniu otrzymał Zarząd główny subwencje:

*a)* na cele ogólne; od galic. Kasy o szczędności we Lwowie złr. 200 i Wydziału Rady powiatowej w Rudkach złr. 15.

*b)* na wydawnictwo »Przewodnika»; od Komitetu c. k. Towarz. rolniczego w Krakowie złr. 50, od Oddziału Towarzystwa gospodarskiego w Żółkwi złr. 5, oprócz tego na powyższy cel nadesłali: ks. Franciszek Lacroix dziekan w Radłowie złr, 4. pp. Antoni Rozmanit z Krakowa złr. 1, Jan Lebenstein z Krakowa złr. 1. i August Charzewski z Przemyśla złr. 1., a Oddział podolski Towarzystwa gospodarskiego zaprenumerował dla Kółek rolniczych powiatu Buczackiego i Husiatyńskiego 12 egz. »Przewodnika«, przesyłając na ten cel złr. 12. Zarząd główny składa za powyższe dary Szanownym ofiarodawcom serdeczne podziękowania.

## Poradnik dla czytelń.

**Ucieszne przygody** dziada Florka i chłopca Beldonka w drodze do Częstochowy opowiedział A. Dygas.

Ten A. Dygas jest nie kim innym, tylko owym Adolfem Dygasińskim, o którego powiastce „Kuba Gąsior“ opowiadaliśmy wam, mili czytelnicy, w nr. 9. „Przyjaciela.

Beldonek był to sobie chłopak jeden — taki mały, brudny. Na przypiecku siadywał i kozikiem strugał a strugał patyki, bo okrutnie lubił to robić. Lubił także słuchać jak myszy piszczą pod nalepą i jak wiatr śwista i niby gra po dworze.

Przyszło jakieś złe powietrze i umarł ojciec temu chłopakowi. Za ojcem poszła i matula. Zbeczał się biedak strasznie, bo bardzo kochał matusię.

Po pogrzebie wziął sierotę do swojej chałupy stryjek Matus. Z początku było mu tam dobrze, ale później zaczęli zapędzać do ciężkiej roboty i chłopak często żałował, że się matusinej zapaski nie czepił i z nią na tamten świat nie poszedł.

Pewnego razu świnki, co im niósł jeść, wpadły mu hurmem pod nogi, pchnęły i przewaliły go na ziemię. Beldonka z tego bólu złość porwała, łap jedną świnkę za ucho i pięścią ją młóci. Świnka w kwik, a tu wylatuje stryjna i setnie go skatowała, a stryjek powrozem tak ściągnął go uczciwie, że chłopak z bólu aż posiniał na gębie. Jak się wyrwał od stryjka, tak głośno rycząc wypadł na chłopskie grunta, przeleciał miedzami i pobiegł drogą het, przed siebie. Dopiero nad wieczorem się uspokoił i powiada sobie.

— Nie wrócę ja już do nich, nie, pójdę kaj bądź, a do nich nie wrócę!

Idzie dalej i śpiewa:

„Matuś, moja matuś,
Już ty w grobie leżysz,
Ja się poniewieram,
Może o tem nie wiesz“

I chce mu się koniecznie dójść na tamten świat. A tu słonko jeno mig, mig, gasło tak, nikiej łuczywo, jak się już dopala i zgasło. Na łąkach mgła dźwiga się w górę, jak białe rańtuchy i chodzi po powietrzu jak żywa. Beldonek siadł na miedzy, patrzył, patrzył w te mgły i zasnął.

Przebałamucił się jeszcze po lasach polach dwa dni i chciał już lecić do chałupy, bo mu się okrutnie cniło bez chleba i warzy, aż widzi pod drzewem siedzi dziadek z brodą siwiuśką do samego pasa.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki.

Słowo za słowem rozgadali się. Beldonek wszystko wyśpiewał temu dziadkowi, a dziadek na to:

— Ha, no, kiedy ci tak źle na świecie, to się zabierz i chodź ze mną, zażyjesz świata i obaczysz, kaj co jest, bo idę właśnie do Częstochowy na odpust.

I poszli.

Rozmaicie im tam w drodze bywało. Dziadek Florek umiał wszystkich chwycić za serce i do torby wpadały im często i pieniądze, i partyki chleba, i skrawki skórki ze szperki. A jak trzeba było, to zamrużył oczy i był niby ślepy, żeby baby prędzej się wzruszyły i więcej dały.

Florek kazał Beldonkowi jedną torbę nosić, nauczył go święte pieśni spiewać i prosić cienkim, beczącym głosem jałmużny. Ale nauczył go oni innych rzeczy, ot jak na ten przykład: kazał mu z cudzego pola koło drogi kartofle kraść. Bo ten dziad był to wielki filut i miał już sporo grosiwa. Pewnego razu w lesie Florek zobaczył, jak dziad odszedłszy na stronę w gęstwinę, usiadł sobie na ziemi, rozłożył torbę papierowych pieniędzy, poukładał to precz porządkiem

naokoło po trawie, na kolanach i musi coś kalkulował w głowie, a jak tylko spostrzegł Beldonka, tak odrazu zerwał się na równe nogi, zgarnął te papiery i włożył je w zanadrze, gdzie nosił także szkaplerz.

Wiele ciekawych rzeczy widział Beldonek w drodze do Częstochowy: i ludzi rozmaitych. i klasztory, i także wielkie miasta, że mu się w głowie pomieścić nie mogło, że to wszystko na jawie prawda, i że nie śmiał nawet pary z siebie puścić. Aż nakoniec niedaleko od Częstochowy spotkali kompanję pobożnych ludzi, którym w drodze umarł przewodnik. Tak dziad zaraz mówi do nich:

— Jabym was może i poprowadził, żebyście mnie jeno chcieli słuchać...

Baby zaraz między sobą rada w radę, żeby koniecznie poprowadził, bo ten Florek okrutnie się im spodobał bez to, że miał bieluśką brodę jak święty Józefek. Złożyli się ci ludzie zaraz, coby takiego przewodnictwa nie było za darmochę i Florek poprowadził tę kompanję.

Mijają las, patrzą z górki, a tu w dali przed nimi widać wieżycę, kopułę, a na wierzchu świecił się w słońcu krzyżyk, nikiej cudowna gwiazda. Tak cała kompanja w płacz, w krzyk, w szlochanie. Ludzie na kolana padają, biją się w piersi; widać każdy miał swoje bóle, cierpotę jakową, albo strapienie okrutne. A potem zaśpiewali:

Witaj, królowo nieba i matko litości.
Witaj, nadziejo nasza w smutku i żałości!...

Beldonek, kiedy wszedł do kościoła nie miał śmiałości nawet spojrzeć na obrazy, tyla się chylił do ziemi. A jak spojrzał w wielki ołtarz, tak omal nie zemdlał i tak się zczulił, że choć przecie umiał siła różnych modlitw i pieśni, to nawet pacierza zmówić nie mógł, tylko w cichości powtarzał: „Zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami!“

A tu Florek jego trąca:

— Wychodź ze mną z kościoła, mówi, bo musimy swoje robić.

Wyszli za bramę, a dziadów tam była ćma ogromna, obsiedli cudowną górę i w niebogłosy krzyczeli do miłosierdzia ludzkiego. A kłócą się między sobą, a odbierają sobie jałmużnę, a biją się. A najgorzej wszystkich oszukuje to Florek. Beldonkowi kazał się sadowić przy takim dziadku, co już na wieki oślepł, żeby, jak kto ciśnie pieniądz takiemu ślepcowi, żwawo go chwytać.

Siedzi Beldonek i patrzy, a tu idzie pan jeden, cały bieluśko ubrany jak gęś jaka, tyla mu z boku wyglądał świecący łańcuch — musi być bogacz jakiś. Widzi Beldonek, że temu panu coś upadło, a Florek czemprędzej to chwycił i do zanadrza schował. Ale ten pan zaraz zobaczył, że zgubił pulares, wraca tedy i pyta, czy kto nie znalazł. Inne dziady bez złość na Florka pokazały. Dziad ostro się stawiał i krzyczał, ale przyszli policjanci, odebrali pulares, zabrali Florka i gdzieś schowali.

Beldonkowi markotno się trochę zrobiło, jak dziada nie stało, ale później natknął się na baby z onej kompanji, co z nimi przyszła, pilnował się ich, łaził z niemi na nabożeństwa, obejrzał wszystko doskonale, przebył cały odpust, a później przy pomocy dobrych ludzi do swojej wioski powrócił. Ledwie się Beldonek u swoich pokazał, zaraz go wszyscy z ogromną szczerością witali. Chłopak precz opowiadał różne historje, bo kupę świata widział, ale i to mawiał, że, choby mu stryjna jeszcze kiedy skórę wyłoiła, toby drugi raz na wędrówkę z dziadami nie poszedł.

---

## DALEKA MOGIŁA.

W kwitnącym sadzie, stał domek stary, szary, trochę krzywy.

Pewnego kwietniowego poranku po raz pierwszy zobaczyłam i poznałam właściciela

tego domku, Stał on w sadzie, tuż przy domku, plecami oparty o gruby pień wiązu i odpoczywał po pracy. Wysoki, barczysty w kapocie, której poły opadały na zrudziałe cholewy obuwia, w czworokątnej czapce, baraniem futrem oszytej, zdala już wyglądał na silnego wyrobnika ziemi, na oracza i siewcę tych pól szerokich, płaskich, które miejscami ciemne jak chleb razowy, a miejscami od młodej runi zielone, cicho teraz drzemały pod złotym płaszczem słońca. Kiedy się zbliżyłam ku niemu, na pozdrowienie moje odpowiedział grzecznem pozdrowieniem i wskazał spory płaski kamień, tuż przy chropowatej ścianie domku leżący:

— Proszę usiąść i spocząć, — zaprosił.

Fajkę, z której popiół wytrząsł, do kieszeni kapoty schował, stopą zadeptał kilka na trawę upadłych iskier i zaczęliśmy rozmawiać o tem, co słychać w mieście, jak tam ludzie żyją, co robią. Na drzewach tymczasem ptaszki śpiewały, na dachu gołębie gruchały, na płocie piał kogut. Aż nagle dał się słyszeć śród szerokiego pola głos ludzki, męzki, młody, czysty, który śpiewał bardzo piękną pieśń i zagłuszył wszystkie ptaki.

Gospodarz ku polom spojrzał, i rzekł z uśmiechem.

— A to już Kazio pieśni swoje wywodzić zaczął. Młodemu, a głupiemu tylko śpiewanie w głowie...

Na polu, po zagonie, szedł człowiek i jedną ręką trzymał u piersi okrągłą kobiałkę ze słomy, drugą rzucał na zagon ziarna bujne. żółte, okrągłe, które wciąż padały na ciemne puchy ziemi.

— Czy to syn wasz, panie gospodarzu? spytałam.

— A jakże! groch sieje. Trochę to już na tę siejbę i spóźniona pora, ale inaczej nie było można, bo przymrozki ziemię chwytały. A groch, widzi pani, to takie ziarno, że jak pod przymrozki je rzucić, z całego zasiewu nic nie będzie...

Mówiąc to stary człowiek ku plonom wciąż patrzał.

— Cały to mój gospodarz i wyręczyciel ten Kazio... Wczas też wyrósł, bo choć dusza i chętliwa byłaby jeszcze do pracy, ciało domaga się odpocznienia. A jakże!

Smiał się z radości, patrząc na młodego, pięknego i silnego syna, a potem zaczął mi opowiadać o swoich dzieciach.

Siedmioro ich Pan Bóg mu był dał, ale dwoje zawczasu też odebrał, z pięciu zaś pozostałych troje w świat poszło, a dwoje najmłodszych w domu ostało. Już to na zawsze jeden tylko Kazio przy nim ostanie, bo ostatnia córka Jadwisia, tak samo, jak starsze siostry, niebawem pewnie za mąż pójdzie.

Dwoje najmłodszych dzieci wyrosło bez matki, która wprędce po urodzeniu Jadwisi, więc ośmnaście lat temu, umarła. On im był tedy i ojcem i matką, ale że, przy roli pracując, nie zawsze miał czas ich doglądać, jedne drugim niańkami były.

Spytałam ile posiada ziemi. Odpowiedział, że ma jej morgów osiem.

— Nie jest to wiele, ale i nie mało — mówił. — Ludzie mniej mają a żyją. I my chwała Bogu, od dziadów pradziadów żyli tu, łaski bozkiej tylko potrzebując. Jedna tylko bieda, że w bezleśnych stronach drzewo drogie, tedy chatę wyreperować i gumno nowe postawić niełatwo.

Ale nad tym kłopotem niech już sobie Kazio głowę łamie. On tu gospodarzem teraz jest i zawsze ostanie. Ożeni się, może z posagiem dziewczynę weźmie, a jeżeli nie, to jakkolwiek tam tę biedę z chatą i gumnem zmoże. Wprędce też pewno i ożeni się, bo gdy Jadwisia za mąż pójdzie, pusto i smutnie zrobi się w chacie.

Żartowałam, wkrótce wnuki mieć będzie, od których w tym sadzie i na tym podwórku zrobi się wesoło, wesoło!

— A jakże! zaśmiał się, już to inaczej nie może być! Już tak być musi, aby i staremu robota jaka na świecie była! Choćby wnuki kołysać!...

— I całować! — dorzuciłam.

— A jakże! i bez tego nie obejdzie się pewno! Niema kochania, bez całowania!

W tej chwili niespodzianie i gdzieś bardzo blizko, silny, głos jakiś, na nutę skoczną i raźną huknął.

— „Hej, dziewczyno kochana  
Czemuś taka spłakana,  
Czy rozbiłaś dzban może?...“

Wydało mi się, że ta piosnka nad samą głową moją wybuchnęła, ale gdy twarz ku sadowi obróciłam, przekonałam się, że zabrzmiała ona za gęstemi splotami grubej jabłoni, z poza których wyszedł ten sam chłopak, który przed kwadransem siał groch na polu i, z głową podniesioną w górę, na gołębie może, który strzechę oblatywały spoglądając, śpiewał dalej;

— „Pozwól, chwacko się sprawię
Ślicznie dzbanek naprawię,
Tylko nie płacz..."

Teraz, spostrzegłszy osobę obcą, u ściany domu siedzącą, umilkł i na chwilę pod kwitnącą jabłonią stanął. Dąb to był nie mężczyzna, ale dąb, który żadnej zimy srogiej, ani ulewy, ani gromowego uderzenia jeszcze nie zaznał: młody, wysmukły, zgrabny. Pod białą koszulą plecy miał gładkie i wyprostowane, policzki ściągłe, ogorzałe i rumiane, pod ciemnemi brwiami duże oczy z siwą źrenicą. Wąs złotym puchem zaledwie wysypywał mu się nad koralową wargą, złotawe włosy świeciły z pod zgrabnej czapeczki. Szedł już ku domowi krokiem szerokim i giętkim, ręką, w której pustą kobiałkę trzymał, zamaszyście nieco u boku wymachując.

— Więcej tam pewnie na polu naśpiewałeś, niż nasiałeś! rzekł do niego ojciec żartobliwie. Aż wróble na dachu dziwowały się twojemu śpiewaniu. Ze trzy garnce grochu wysiałeś, co?

— Piękną pieśń, spiewałeś tam, w polu, rzekłam.

— A piękną, odparł chłopak z przekonaniem.

— Jakim sposobem jej się nauczyłeś?

— Jest napisana, — odpowiedział.

— Chciałabym ją całą przeczytać.

— Czemuż nie? — uprzejmie podjął stary i do syna się zwrócił.

— Idź-że, przynieś pani swoje pieśni!

Chłopak zawahał się, trochę jakby zawstydził.

— Nic tam osobliwego niema... — zaczał.

— Idź-że zaraz i przynieś! — powtórzył ojciec.

Szerokim, prędkim krokiem ku chacie poszedł, a po chwili trzymałam w ręku dwa spore zeszyty, z których jeden na okładce swej nosił napis: *Pieśni nabożne*, a drugi *Pieśni świeckie*. Okładki były stare, zbrudzone, połamane: papier żółty, siny, stary; pismo papier ten okrywające: niewprawne, koszlawe poplamione! Z nad tego papieru i pisma, wzrok na młodego człowieka podnosząc zapytałam:

— A nuty zkąd?

Wzruszył lekko ramionami.

— Czy ja wiem? — odpowiedział.

Ale po namyśle, z uśmiechem, w którym z za warg koralowych białe zęby mu błysnęły, a jednak i z powagą dokończył:

— One prawie w powietrzu są rozsypane, i kto sobie chce, ten je łapie!

* * *

Kilkanaście miesięcy minęło. Dzień był letni, skwarny, a długa i wązka ulica miejska wydawała się olbrzymim, dusznym piecem.

Na ulicy panowały ścisk, hałas i turkot. Nagle dał się słyszeć odgłos turkotu, do wszystkich innych turkotów niepodobnego i u skrętu ulicy w żółtej kurzawie, ukazała się artylerja opuszczająca miasto i wiozące za sobą wielkie mnóstwo armat.

W jednym z jeźdców, wiozących błyszczącą na słońcu armatę, poznałam Kazia, co niegdyś siał groch i śpiewał takie piękne pieśni.

Na jednym z dwu czarnych koni jak przykuty, jak kamienny, jak młody dąb silny, wysmukły i zgrabny siedział; przed nim inny człowiek w takiem samem ubraniu kierował parą drugą; a za nim, na żółtych kołach sunęła armata.

Od czasu jak go widziałam, zmienił się trochę: na twarzy schudł, w ramionach jeszcze poszerzał, bujniejszy wąs puścił się mu nad wargą.

Patrzał uważnie przed siebie, daleko. Co tam daleko spostrzegał? Chatę swoją? pola szerokie? gołębie nad strzechą? czy kraje nieznane? wysokie góry, bogate winnice, dolinę, zapełnioną kwitnącemi różami? czy bitwę? czy śmierć? Któż wiedzieć może? Na wojnę jechał, daleko na południo-wschód, daleko, aż do Turcji.

---

Sporo czasu minęło aż zobaczyłam znowu ojca Kazia z pługiem parą koni zaprzężonym, wychodzącego z zagrody. Postarzał bardzo, zmarszczki okryły mu twarz, kaszel dusił w piersiach.

— Pani wie... że Kazio zginął na wojnie, rzekł smutnie. Papier do mnie o tém przyszedł, a w tym papierze... tak i tak... pisali... taki i taki... z takiej i takiej wsi. Wtedy i wtedy... honoru dostąpił... w batalji od kuli... familji oświadczyć przykazano...

Umilkł.

Potem jakby nagle coś sobie przypomniał, na mnie spójrzenie zwrócił i zapytał:

— Niech pani będzie łaskawa mnie powiedzieć, w której to stronie znajduje się ta... Turcja? Ukazałam mu południowy, ku wschodowi zbliżony punkt widnokręgu. Domyślałam się, o co mu chodzi. Chciał wiedzieć dokładnie, w którą stronę za zniknionym synem oczy ma obracać.

Stary natychmtast też we wskazanym punkcie wzrok utkwił, patrzał, patrzał i głową powoli trząsł.

— Dalekoż... on pozostał... daleko... za lasami... za górami...

— I za doliną róż — dodałam.

— Za jaką doliną? — zapytał ciekawie

Nie chciałam mówić nieszczęśliwemu ojcu o górach ostrych, wąwozach nieprzebytych, wałach śnieżnych, przepaściach, których tak wiele w Turcyi, ale długo mówiłam mu o dolinie rajskiej, od krańca do krańca okrytej różami, których szkarłaty piękniejsze są niż królewskie purpury, a wonie słodkiemi snami kołyszą może głowy nawet umarłych.

— Cudności! — rzekł stary — cudności! A może i teraz choć w jesiennej porze, to róże tam kwitną?

— Ciągle, przez okrągły rok one kwitną, rzekłam umyślnie, bo chciałam żeby myślał, że synowi jego dobrze leżeć pod różami.

— To może on... pod temi różami? — zaszeptał.

— Najpewniej! — odpowiedziałam.

— To dobrze, to chwała Bogu! piękny nadgrobek... A za tą doliną... co tam?

— Za tą doliną są winnice, pyszne, pachnące, po zielonych wzgórzach rozpięte, złotemi gronami jagód osypane.

To już inaczej być nie może, — z rozwagą i stanowczością zaczął — albo na tej dolinie, albo za nią, albo pod różami, albo pod winnicami...

I wpadł w takie zamyślenie, że zupełnie o mnie zapominając, machinalnie położył dłonie na rączkach pługa, i na konie przeciągle zawołał:

— Heeej!

Konie ruszyły, lemiesz zarył się w ziemię, a na nim, ze zgarbionymi plecami i krokiem ciężkim, powolnym i smutnym postąpił ojciec Kazia... Silny powiew wiatru zakłębił nad nim mgłą chłodną i mokrą, i jak ciemne skrzydła rozwiał poły jego kapoty, a on szeptał:

— Może w dolinie... może za doliną róż!

---

## Nędza z powodu zamknięcia targów.

Klęska, jaka dotknęła już i tak ubogi nasz kraj wskutek nieurodzajów ogólnych a bardziej jeszcze z braku paszy, w dziesięcioro się spotęgowała przez grasującą zarazę pyska i racic u bydła i trzody chlewnej. Wprawdzie bydło na tę zarazę nie ginie, a zapadłszy na nią w kilkunastu dniach ją przechodzi, najgorsze jednak skutki wywołuje *kontumacja tudzież zamykanie targów i jarmarków.*

W gospodarstwie rolnem mniejszej własności najważniejszym środkiem uzyskania grosza jest sprzedaż nierogacizny i bydła, a gdy to jest zabronionem, gospodarz nie ma czem opłacić podatków, gdyż jedyny sposób uzyskania funduszu na ten cel jest mu zabroniony. Ludzie głośno powiadają „niech sekwestrzy zabierają i sprzedają bydło za podatki", gdyż ten sposób jedynie jest do zbycia bydło.

Gospodarze nie mają również czem płacić robotnika, wskutek tego pożyczają na procenta, a łudząc się sprzedażą bydła, wpadają w długi.

Wskutek nieurodzajów, a bardziej jeszcze z braku paszy, nie są w stanie bydło wyżywić a o przezimowaniu go i mowy być nie może. Bydło nędznieje, marnieje dla braku odpowiedniego wyżywienia, a wskutek tego traci na swej wartości. Strzechy chałup włościańskich w wielu miejscowościach przedstawiają się w opłakanym stanie, gdyż właściciele na podściółkę i sieczkę dla bydła poździerali poszycie, a dla braku słomy nie będą nawet mogli strzech na zimę na nowo pokryć.

Ponieważ zaś różne dodatki, daniny i należytości ludność pokryć musi. a niemiej też na opędzenie swych domowych potrzeb, fundusze są jej potrzebne, nie mogąc zbyć coś z bydła — czemprędzej wymłaca tegoroczny i tak lichy zapas zboża, by takowy sprzedać.

Wobec jednego lub kilku wypadków zarazy w jednej gminie zamykają targi, jarmarki tudzież przepęd bydła na takowe w 30—40 gminach okolicznych, a zanim po jednym wypadku przejdzie zaraza przez całą gminę, trwać będzie w nieskończoność zamknięcie targów, oraz zakaz wypędzania bydła i świń ze wszystkich 30—40 gminach, chociażby tu bydło było najzdrowsze. Żeby zaradzić złemu, trzeba by postanowić, aby zamkniętą była ta gmina, w której panuje zaraza, i wreszcie najbliższe sąsiadujące gminy, a innym gminom przypędzanie bydła było dozwolone, lub w inny jeszcze sposób, który nasi włościanie sami swoim chłopskim rozumem wymyślili, mianowicie: radzą, by, jeżeli jeden lub więcej wypadków tej zarazy pokaże się w pewnej gminie natychmiast zarazić część lub całą gminę, a w ten sposób odrazu całe, bydło w dniach kilkunastu przejdzie słabość, która nie jest niebezpieczną, bo na zarazę pyskową bydło wcale nie ginie.

---

## KRONIKA.

**Dobry przykład.** Gdy po wielu miasteczkach nie zaprowadzono jeszcze dotychczas straży pożarnych, nic więc dziwnego, że nie posiadają ich i nasze gminy wiejskie. Aby jednak przynajmniej częściowo niedostatek ów zmniejszyć, starosta w Kocmaniu na Bukowinie p. Mieczysław Zachar, dał przykład prawdziwego uznania i naśladowania godny. Jeszcze w ubiegłym roku sprowadził on z Wiednia sikawkę dla własnego użytku; następnie zawołał do Kocmania naczelników gmin całego powiatu i w ich obecności kazał czynić próby z sikawką. Kiedy wszyscy przekonali się naocznie o użyteczności przyrządu, zaproponował, ażeby każda gmina zakupiła sobie przynajmiej jedną sikawkę, przyczem przyrzekł postarać się u fabrykanta o ulgi w wypłacie. Naczelnicy gmin istotnie poszli za tą radą i każda wioska zakupiła sikawkę, wypłacając ją w trzech ratach po 28 złr. 33 ct.

O dobrych rezultatach tego zarządzenia mieliśmy sposobność przekonać się temi dniami. Dn. 10. bm. w samo południe wybuchł pożar w chacie jednego z tutejszych włościan. Niebezpieczeństwo było tem większe, że skutkiem posuchy, trudno było o znaczniejszą ilość wody, wiele bowiem studni wyschło, a i w stawach wody mało. Jednakże w chwili największego niebezpieczeństwa przybył p. Jan Dobrowolski z sikawką gminną i przy wybornej pomocy miejscowych żandarmów przystąpiono do lokalizowania, a następnie gaszenia ognia, co też powiodło się w zupełności przy stosunkowo małem użyciu wody. Doskonała działalność sikawki przekonała wieśniaków o jej wielkiej użyteczności tak dalece, że niejeden z gospodarzy postanowił dla własnego użytku zakupić sobie taką samą. Tak więc starania gorliwego starosty wydają jak najlepsze rezultaty, oby też i u nas znalazła jak najwięcej naśladowców.

**Straszna nędza** panuje w pow. turczańskim. Wskutek wielkiej posuchy ani na wiosnę, ani w lecie nie było paszy dla bydła i teraz jej niema i

na zimę nie będzie. Owsy w górach są tak nędzne, że niema co i kosić. Zaraza pyskowa i raciczna panuje w całym powiecie. Lecz ten nieurodzaj i zaraza niczem są jeszcze wobec panującej choroby czerwonki, która od 10. tygodni dziesiątkuje ludność. W trzydziestu wsiach mrą ludzie na tę chorobę nadzwyczajnie. W Zawadce na 700 mieszkańców umarło dotychczas 80 na czerwonkę. Tak samo dzieje się w Turce, w Rozłuczu, w Jaworzu: mrą starzy i dzieci, ratunku zaś znikąd niema. Wprawdzie jest trzech lekarzy w Turce, ale lud nie wzywa lekarza, gdyż niema czem płacić i za mało jest lekarzy w takich razach, a zresztą cóż może lekarz zapisać za lekarstwo, jeżeli mu nie wolno droższego używać jak za 18 ct. chyba, że sam zapłaci.

W naszych górach nie rodzi się nic prócz ziemniaków. Jak nasz bojko ma ziemniaki i kapustę o innem pożywieniu nawet nie marzy; ludność żywi się więc prawie wyłącznie ziemniakami — a gdy tych zabraknie — to nastaje głód. Dwadzieścia procent ludności, — to jest na każdą setkę ludzi dwudziestu — je ziemniaki nawet bez soli, gdyż niema za co soli kupić. Kobiety karmią swe dzieci po dwa i po trzy lata piersią, gdyż nie mają dzieciom dać co zjeść. W innych powiatach przecież ludność doznaje jakiegoś ratunku: to zakładają szkoły przemysłowe, to kasy pożyczkowe, w turczańskim niema żadnej pomocy.

**Jak prusaki uczą dzieci polskie.** Znowu mamy do opowiedzenia o brutalnem pobiciu dziecka w szkole przez nauczyciela niemca. D. 30. sierpnia, stawał przed tutejszą Izbą karną nauczyciel Bernard Bayer z Sarbinowa, oskarżony o pobicie w szkole d. 13. marca br. czternastoletniego chłopaka, Wacława Abramowskiego z Paczkowa. W dniu wspomnianym było do rozwiązania w szkole sarbinowskiej zadanie rachunkowe (naturalnie po niemiecku), którego rozwiązać Abramowski nie umiał, za co otrzymał kilka porządnych „łap". Następnie, mimo że prosił nauczyciela, aby go nie bił, otrzymał Abramowski jeszcze kilka razy w twarz, tak, iż się potoczył i zranił o stojący w szkole czworokątny słup. P. dr. Kube z Kostrzyna, do którego w dniu następnym się udano, zobaczył, że cała lewa część twarzy chłopca była nabrzmiała, że policzki były posinione i krwią zaszłe, że z ust i lewego ucha krew ciekła. Według jego zdania musiał oskarżony z cała siłą Abramowskiego bić po twarzy. Chłopak dodał nadto w terminie, że nauczyciel chwycił go za włosy i że go pchnął do ściany i że go kijem bił po głowie. Sąd skazał oskarżonego na 10 marek, to jest 6 złr. 20 ct. kary. Prusacy sądzą zapewne, że krzywda i cierpienie polskiego dziecka więcej nie warto.

**Deputacja nauczycieli szkół ludowych** w Krakowie, złożona z delegata nauczycielskiego p. Jul. Maciołowskiego, dyrektora szkoły na Smoleńsku i p. Sal. Spitzera, nauczyciela szkoły na Kazimierzu, wręczyła d. 1. września Oskarowi Kolbergowi. o którego jubileuszu i pracach pisaliśmy obszernie w „*Przyjacielu Ludu*", adres, podpisasany przez inspektora szkół ludowych, dyrektorów i profesorów obydwóch seminarjów naucz., dyrektora i nauczycielki szkoły wydziałowej, dyrektorki, nauczycieli i nauczycielki szkół ludowych.

Dyrektor Maciołowski imieniem nauczycieli krakowskich wyraził jubilatowi słowa czci dla niezmordowanej jego pracy na polu literatury ludu naszego.

Czcigodny jubilat z rozrzewnieniem i wzruszeniem dziękował delegatom, następnie przedłożył deputacji ostatnie dwa tomy swego wydawnictwa, obejmujące pieśni ludowe, spiewane na Łęczycach i Kujawach, tudzież jeszcze nader obfity zasób materjału, przygotowanego do dalszych wydawnictw.

**Pożar.** W Pyskorowicach, w powiecie jarosławskim, zgorzały d. 26. Sierpnia cztery zegrody włościańskie wraz z budynkami gospodarczymi i zbiorami tegorocznymi, nadto spaliły się trzy konie, krowa i drób. Szkoda wynosi do 5000 zł. Pożar powstał w skutek podpalenia. Zbrodnię tę popełnił Jurko Sobaszka, który podpalił chatę swego ojca, żył bowiem z nim w niezgodzie.

## Co słychać w świecie?

**Lwów 15. września.** Sprawy wyborcze dotychczas jeszcze nie ucichły i z rozmaitych stron Galicji nadsyłają zażalenia do namiestnictwa na nadużycia, jakie się działy podczas wyborów.

Czasopismo dla ludu, *Pszczółka*, donosi, że posłowie włościańscy, wybrani świeżo do Sejmu, nie wejdą do żadnego klubu, tylko utworzą odrębny, samoistny klub katolicko-ludowy. Zdaje się nam, że nowina ta jest zawczesną, gdyż jak wiemy, posłowie włościanie nie zbierali się dotychczas na żadne narady i wcale jeszcze nie uchwalili, gdzie wstąpią. *Pszczółka* chciała zdaje się, tylko poddać posłom-włościanom myśl taką, aby utworzyli klub odrębny. Pomysł ten, zdaniem naszem, nie jest najlepszy, albowiem klub ten byłby za mały i byłby pozostawiony sam sobie. Więcej zrobić można, jeżeli się w jakiejś sprawie połączy wielka liczba posłów o jednych i tych samych zapatrywaniach. Sądzimy zatem, że myśl *Pszczółki* się nie przyjmie, i że posłowie-włościanie wstąpią do lewicy, która zawsze we wszystkiem ich poprze i w której znajdą szczerych i prawdziwych przyjaciół ludu.

Nie możemy przypuszczać, ażeby pomiędzy posłami-włościanami znalazł się choćby jeden taki, któryby wstąpił do prawicy, gdzie zasiadają panowie szlachcice, tacy, jak znani naszym czytelnikom pp. Stadniccy, Skrzyńscy Jędrzejowicze, Lasoccy, Trzeciescy itp. Dla lepszego zrozumienia, jak szlachta nasza dziś jeszcze zapatruje się na prawa ludu, niech posłowie-włościanie przeczytają sobie to, co w tych dniach pisał jeden ze szlachciców, niejaki p. Koźmian w liście drukowanym, publicznym. Pan ten jest redaktorem *Czasu*, gazetki wielkopańskiej, wychodzącej w Krakowie. Otóż w liście tym pisze p. Koźmian, że włościanie powinni zostawić radzenie o pożytku kraju i ludu samym panom, i że źle bardzo się stało, iż kilku włościan wejdzie tego roku do Sejmu, bo nie powinni oni nigdy w Sejmie zasiadać, gdyż na to za mało mają rozumu i nauki, a zresztą „tradycja“ na to nie pozwala. „Tradycja“ znaczy tyle co wspomnienie dawnych zwyczajów, p. Koźmian pamięta o dobrych starych czasach, kiedy to chłop giął się pokornie do nóg pana, który żył z jego pracy, a bat ekonomski orał do krwi skórę na chłopskim grzbiecie... Pamięta o tem szlachetny panek i wolałby, żeby lepiej wrócił ten zwyczaj, niż żeby chłopi w sejmie o swoich potrzebach radzili. Nie doczeka się jednak, na szczęście, tej pociechy nigdy. Wielkim panom pewnie bardzo to jest nie na rękę, że chłop razem z nimi w jednej sali siedząc, nieraz powie w Sejmie słowa prawdy i dlatego piszą, że chłopi w Sejmie na nic się nie przydadzą. To już jednak daremne, lud do panów po smutnych doświadczeniach nie może mieć zaufania i woli sam stać przy kuchni i doglądnąć, aby mu się kartofle ugotowały, aniżeli spuszczać się na pańskich kucharzów, którzy sobie marcepany smażą, nie pamiętając o tem – bo to im wszystko jedno — czy chłop będzie miał co jeść, czy nie.

Od 3. do 9. b. m. bawił w Galicji cesarz austrjacki na wielkich manewrach, jakie się odbywały w okolicach Jarosławia. Z powodu przybycia tak znakomitego gościa do kraju odbywały się wszędzie po stacjach kolejowych uroczyste przyjęcia, w których przedstawiciele powiatów zapewniali cesarza o miłości, jaką go lud polski otacza. Cesarz kilkakrotnie dał wyraz swojej przychylności dla Galicji i przyrzekł swą pomoc dla ludności, zubożonej wskutek nadzwyczajnego nieurodzaju. Minister skarbu kazał sobie zdać o klęsce nieurodzaju w Galicji dokładne sprawozdanie, być może przeto, iż

podatkom ulży się w tym roku trochę, a może rząd udzieli także zapomogi gminom, głodem zagrożonym. Byłoby to istotnie w niektórych okolicach koniecznie potrzebne, donoszą bowiem z wielu stron, że włościanie, którym pasza nie dopisała, sprzedają bydło za byle co, nie będą go mogli bowiem przezimować, gdyż biedacy i sami do ust nie będą mieli co włożyć. Gminy zatem, dotknięte nadzwyczajną klęską nieurodzaju, powinny zaraz robić podanie do starostwa, wykazać, iż zbiory nie wystarczą więcej jak na parę miesięcy i wskutek tego prosić o ulgę w podatkach, a nawet o zapomogę.

Manewry wojskowe odbyły się na przestrzeni kilkumilowej pomiędzy Jarosławiem, Radymnem, Lubaczowem, Krakowcem i Jaworowem.

Podczas pobytu cesarza w Jarosławiu zdarzył się tam bardzo przykry wypadek. Dwaj oficerowie, jeden od ułanów, drugi zaś rachmistrz od artylerji, zostali tam w sposób skrytobójczy zamordowani. Obaj, ale każdy z osobna, zostali jednej i tej samej nocy przez niewyśledzonych dotychczas sprawców napadnięci z nienacka i śmiertelnie pokaleczeni. Jeden z nich umarł nazajutrz, drugi dogorywa. Co było powodem tej zbrodni, różnie mówią, prawdy jednak trudno dociec, gdyż sprawców zbrodni nikt się nawet nie domyśla.

**W Niemczech** dużo mówią o nieprzyjaznych stosunkach, jakie zaszły w ostatnich czasach pomiędzy Rosją a Niemcami. Car rosyjski obiecał pojechać do Berlina z wizytą, podobnie jak to uczynił niedawno cesarz austrjacki. Nie wiedzieć z jakiej przyczyny car podróż swoją z dnia na dzień odwleka i do Berlina nie przyjeżdża, natomiast razem z rodziną bawi w sąsiedniej Danji. Dzienniki zagraniczne, zwłaszcza niemieckie, mocno temu się dziwią, i uważają przyjaźń pomiędzy Rosją a Niemcami z tego powodu za zerwaną i przebąkują coś o bliskiej wojnie. Zdaje się jednak, że nic z tych pogłosek nie będzie.

**Z Szwajcarji** rząd wydala ustawicznie cudzoziemców, takich nawet którzy od lat kilkudziesięciu tam zamieszkali. W ostatnich dniach wydalono ztamtąd 80 cudzoziemców, a to Rosjan, Polaków, Francuzów i Włochów, przeważnie studentów i literatów. Naród szwajcarski przeciwko tym surowym zarządzeniom mocno protestuje i oburza się na rządy, które Szwajcarję do tego zmuszają.

**W Antwerpji,** głównem mieście Belgji, wydarzyło się 6. b. m. okropne nieszczęście. Skutkiem straszliwego wybuchu nabojów, które rozbierano w warsztatach, utraciło życie przeszło 200 ludzi, drugich tyle zostało mocno pokaleczonych. Ofiarą strasznego wypadku padli przeważnie biedni robotnicy, zajęci w warsztatach. Skutkiem tego wybuchu patronów zapaliły się ogromne składy prochu, które eksplodjowały z tak wielką siłą, że powstał huk, jak przy trzęsieniu ziemi. Po tej eksplozji nastąpiła druga w pobliskich składach nafty. Spaliło się 20.000 beczek nafty, a pożar trwał przez kilka dni. Szpitale przepełnione są rannymi i umierającymi. W całym kraju zarządzono składki dla nieszczęśliwych rodzin, które postradały ojców, braci i synów. Wina tego straszliwego wypadku pada na pewnego bogatego przedsiębiorcę, który zakupił w Hiszpanji 50.000 niezużytych patronów i w olbrzymiej szopie kazał patrony te rozbierać, aby wydostać czystą miedź. Podczas tej roboty jeden patron eksplodjował, a od niego zapalił się cały magazyn.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.